KAZIMIERZ KORKOZOWICZ

# Przyłbice i kaptury



Kazimierz Korkozowicz

# PRZYŁBICE I KAPTURY

Wydawnictwo Estymator
www.estymator.net.pl
Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68790-55-9
Copyright © Tomasz Korkozowicz
Projekt okładki: Ewa Gawlik
E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

# ROK 1408

Świeca zaczęła skwierczeć i przygasać. Ojciec Landulf wziął więc żelazne szczypce i przyciął knot. Stłumiony na chwilę płomień strzelił w górę żółtym językiem i zrobiło się jaśniej.

Cień starca przesunął się po surowej, gołej ścianie komnaty, kiedy znów nachylił się nad trzymanym w rękach pismem.

„…a relikwię chcemy złożyć w darze Waszemu klasztorowi, jest to jeden z kamieni, którymi ukamienowano świętego Szczepana.

Sto pięćdziesiąt lat temu zakupił go Ludwik Święty od łacińskiego cesarza Baudouina de Courtenay i złożył w kościele Notre Dame. Obecnie, za zasługi w walce z pogaństwem, Jan Burgundzki, sam Nieustraszonym zwany, przesłał ten uświęcony kamień naszemu Zakonowi, a my z kolei Wam, jako wiernemu przyjacielowi tegoż Zakonu, zamierzamy go wręczyć.

Sądzimy, że zechcecie przybyć, by osobiście z naszych rąk ten dar odebrać, ku czemu czynimy przygotowania na dzień św. Zofii.

Dan w Malborku w dniu św. Teofila, Pańskiego roku 1408 po Chrystusie i podpisany własną ręką Waszego pokornego sługi Ulryka von Jungingen, Wielkiego Mistrza Zakonu Najświętszej Maryi Panny."

Ojciec Landulf odłożył pismo i siedział przez chwilę bez ruchu, wpatrując się w płomień, który znów zaczął przygasać. Potem chudym palcem podrapał się po nosie. Nieznaczny uśmiech ukazał się na jego suchej, starczej twarzy.

* * *

Po uroczystej mszy w kościele na Wysokim Zamku, dar zamknięty w złotym puzdrze, został złożony przez Wielkiego Mistrza w ręce ojca Landulfa, opata klasztoru Cystersów w Oliwie. Natychmiast po uroczystościach dwaj bracia zakonni dosiedli koni i w otoczeniu zbrojnych ruszyli w drogę powrotną, zabierając cenną relikwię. Sam ojciec Landulf, zmęczony uroczystością, z resztą swojego orszaku pozostał na zamku.

Maj tego roku był pochmurny i dżdżysty, toteż wieczerzę dla wskazanych przez wielkiego mistrza dostojników podano w zimowym refektarzu Średniego Zamku, gdyż jego ogrzewana podłoga chroniła przed zimnem i wilgocią.

Kiedy na stole pozostały tylko dzbany z winem, a służba opuściła salę, wielki mistrz osobiście napełnił kielich opata i swój. Potem przesunął spojrzeniem po twarzach obecnych.

Wielki komtur, Kuno von Lichtenstein, na wpół oparty bokiem o stół, odwzajemnił to spojrzenie. Wielki szafarz, Albrecht von Schwarcburg, i prokurator Wormditt – poza nieobecnym Tettingenem dwie najtęższe głowy Zakonu – rozmawiali cicho, nachyleni ku sobie. Marszałek Fryderyk Wallenrode oparł na dłoni łysiejącą, rudą głowę i bawił się pozostawionym na stole nożem. Ulryk zatrzymał wzrok na pergaminowej twarzy opata i odezwał się:

– Chcę z wami, ojcze, pogadać o tym i owym. Możemy mówić swobodnie, pozostali tu bracia znają trudności naszej służby w imieniu Krzyża tak jak ja sam.

Opat patrzył wyczekująco w twarz wielkiego mistrza.

Była to twarz o rysach ostro ciosanych, znamionująca męską siłę. Ciemne oczy o spojrzeniu pełnym wyniosłej dumy były mądre i przenikliwe. W chwilach dobrego nastroju świeciły w nich iskry humoru, w gniewie stawały się zupełnie czarne.

– Sytuacja staje się poważna – ciągnął Ulryk. – Wkrótce wyjeżdżam na objazd granicznych zamków, by sprawdzić, w jakim są stanie.

Po twarzy opata przesunął się cień niepokoju. Przechylił się do przodu, rzucając tylko jedno słowo:

– Wojna?

– Może i wojna… Wiadomości, jakie otrzymujemy, są coraz gorsze.

– Ależ przecież… – starzec zawahał się chwilę. – Z Kowna rozjechaliście się w przyjaźni, obdarowując się wzajemnie…

Ulryk prychnął pogardliwie. Schwarcburg i Wormditt przerwali szepty i zaczęli przysłuchiwać się rozmowie.

– Chcieli uspokoić nas podarkami! Udając, że wierzymy w ich dobre intencje, czyniliśmy to samo.

Opat pokiwał głową.

– Rozumiem. Czy jednak jest aż tak źle? Tyle już było z nimi sporów, a przecież do wojny nie doszło.

– Może i teraz nie dojdzie, ale musimy być na nią przygotowani. Obaj coś knują.

– Knuli zawsze – mruknął Wallenrode. – Ale od czasu Raciąża to już nie tylko knucie…

Opat zwrócił głowę w stronę marszałka.

– …lecz ciche przygotowania, by orężem wymusić nowe warunki.

– Tak… tak… – Ulryk westchnął z ubolewaniem. – A i obecnych nie dotrzymują zupełnie. Na Żmudzi, którą wówczas nam oddali, wciąż wre. Znów krążą tam Witoldowi podżegacze… Ale o niedotrzymywanie przyrzeczeń obwiniają nas… Mój zmarły brat – Ulryk przeżegnał się – Panie, świeć nad jego duszą, rozzuchwalił swoją ustępliwością Władysława. Postanowiłem z tym skończyć, tym bardziej że wiemy teraz, do czego dążą. Dzięki Świdrygielle dowiedziałem się rzeczy, których przedtem nie wiedziałem.

Wielki mistrz w miarę słów podniecał się i mówił coraz gwałtowniej:

– Żmudź chcą nam odebrać! Do tego doprowadziła polityka tego niedołęgi Konrada!

Ojciec Landulf spojrzał surowo na Ulryka.

– Przywołuję was do porządku! O zmarłym mówicie, a do tego o rodzonym bracie!

Wielki mistrz zreflektował się, że staje się zbyt szczery, i odpowiedział z pokorą:

– Wybaczcie, ojcze, to ich obłuda tak mnie wzburzyła.

– Ulżyjcie sobie – mruknął cynicznie Kuno. – Zmarłemu to obojętne.

– W marcu zaś – ciągnął już spokojnie wielki mistrz – znów otrzymaliśmy wiadomości od tego opoja Świdrygiełły. Na Rusi zajdą ważne wydarzenia, pozwólcie, że przemilczę jakie. Witold będzie miał pełne ręce roboty, co da nam okazję, by rozprawić się z Jagiełłą. O ile Luksemburczyk nie zawiedzie, rozbierzemy Polskę, a co zostanie na wschodzie, niech się o to biorą za łby teść z zięciem [czyli Wielki książę Witold i jego zięć, książę moskiewski Wasyl].

– Witold nie domyśla się niczego? – spytał, mimo woli ściszając głos, opat. – To zbyt wielkiej miary człowiek, by wplątać się pochopnie w nieporozumienie z Moskwą.

– On chce mieć Żmudź. Polska mało go obchodzi. Chce stworzyć swoją dynastię i pozostawić następcy Litwę silną i nieokrojoną. Ale rozumie, że swój cel może osiągnąć tylko przy naszej pomocy, nie Polski. Za tę pomoc musi jednak zapłacić Żmudzią. I to jest orzech, który próbuje rozgryźć: jak wykręcić się od tak wysokiej zapłaty.

Wielki mistrz urwał na chwilę i sięgnął po kielich. Upił nieco wina i ciągnął dalej:

– Dlatego chce doprowadzić do wojny między nami a Polską. Bez względu na to, kto ją wygra, obie strony będą słabe i przestaną być niebezpieczne. To rozwiąże mu ręce. I dlatego z jednej strony pcha Jagiełłę do tej wojny, a z drugiej ugodową polityką w stosunku do Zakonu chce nas przekonać, że z jego strony nic nam nie grozi.

Ale już teraz robi wszystko, by Żmudź od nas oderwać – mruknął Wormditt. – Ostatnie listy Kuchmeistra mówią o najeździe litewskich kupców. Wiemy, co to znaczy…

– Wiemy – zgodził się Ulryk. – Jednak pozornie Witold umywa ręce od Żmudzi i proponuje pomoc, jeśliby doszło do zamieszek.

– A wasze decyzje?

– Na razie zabroniłem Żmudzi wszelkich stosunków z Litwą. Granica ma być całkowicie zamknięta. Żadnych gości stamtąd, handlowych czy rodzinnych. Już pierwszych przybyszów po tym zakazie Kuchmeister kazał powiesić.

– Zatem grożą tam nowe zamieszki?

– I wójt, i Świdrygiełło ostrzegają nas przed tym, ale usadowiliśmy się tam mocno. Ludność trzymamy krótko, a wszelkie próby powstania zduszą załogi zamków.

– Ale… – opat zawahał się – nie bardzo rozumiem… Skoro wiecie, że wasza wojna z Polską leży w planach Witolda, dlaczego nie staracie się jej uniknąć?

Ulryk uśmiechnął się lekko.

– Uniknąć? A po co, skoro mamy przewagę? Poza tym dla nas wojna z Polską jest konieczna, bo tylko Polska jest zaporą przeciw dalszemu rozwojowi Zakonu. Dopóki jej nie pokonamy, jesteśmy skazani na dreptanie w miejscu. Nasza dalsza droga prowadzi na wschód. Z silną Polską pod bokiem nie ruszymy ani na krok. Nie chcę – Ulryk skrzywił pogardliwie usta – pocieszać się drobiazgami, ziemią dobrzyńską czy tym krecim kopcem – Drezdenkiem. Jeśli spieramy się o niego, to nie dla korzyści, jakie przynosi. Wolne drogi handlowe na zachód zdołamy zachować i bez tego. Von Ost mógł sobie być hołdownikiem Polski do sądnego dnia. Ale nie chcemy dopuścić, by spory przygasły. Zarzewie musi się tlić, by w odpowiedniej chwili płomień wybuchnął.

Jednak opat Landulf nie wydawał się całkowicie przekonany, bo nuta wahania pojawiła się w jego głosie, kiedy przemówił:

– Ale Polska to jeden z najsilniejszych krajów! Nawet Zygmunt nie chce występować zbyt otwarcie przeciw Jagielle. Bądźcie ostrożni…

Wielki mistrz zmarszczył brwi. Oczy mu pociemniały, a na twarz wystąpił rumieniec gniewu. Chwycił za nóż, którym bawił się Wallenrode, i z rozmachem wbił go w dębowy blat stołu.

– Nie gadaj mi bredni! I dęby razi żelazo!

– Macie rację, ojcze – wtrącił pojednawczo Wormditt dla złagodzenia ostrych słów Ulryka. – Ale nie zapominajcie, że to nie Polska, lecz nasz Zakon jest dziś największą potęgą Europy! Nie tylko w Polsce, ale w żadnym innym kraju nie znajdziecie takich zasobów, tak licznych i warownych zamków, tak wyszkolonego i bitnego wojska, organizacji i porządku.

– I takiego rozeznania, co się dzieje u innych – dorzucił półgłosem Schwarcburg. – To oni, nie my, powinni się bać wojny!

Ulryk znów zabrał głos, ale teraz mówił spokojnie:

– Otóż to, ojcze. Poniechajcie więc obaw. Załatwimy się z Polską! A musimy to wreszcie zrobić, bo, jak powiedziałem, jedyna to przeszkoda na drodze do dalszego rozwoju Zakonu. Nadchodzi pora, by wreszcie zapolować na te dwa lisy, Jagiełłę i Witolda!

Sięgnął po kielich, znów upił parę łyków i z brzękiem odstawił go na stół.

Wallenrode roześmiał się cicho. Był to śmiech pełen zajadłej, pogardliwej nienawiści. Zabrzmiał tak niesamowicie w ciszy, jaka nastąpiła po słowach Ulryka, że ojciec Landulf wzdrygnął się i mimo woli szybko przeżegnał. Zakonni rycerze wymienili między sobą kpiące spojrzenia.

– Cóż zatem ode mnie chcecie? – spytał zgnębiony, przechylając się na oparcie krzesła.

– Abyś i ty, dostojny ojcze, dopomógł Zakonowi w jego trudach nad przygotowaniem zwycięstwa.

Opat Landulf przypomniał sobie niektóre z tych myśli, jakie go naszły przy czytaniu listu, ale tym razem nie uśmiechnął się do nich. Spojrzał starczymi, wyblakłymi źrenicami w ciemne oczy wielkiego mistrza i powtórzył pytanie:

– Cóż zatem chcecie?

– To ci powie brat Kuno.

Opat zwrócił wzrok na wielkiego komtura. Ten złożył ręce przed sobą na blacie stołu i jakiś czas przyglądał się im z opuszczoną głową. Wreszcie wyprostował się i spojrzał w oczy ojca Landulfa.

– Brat Albrecht rzucił tu parę słów, do których chcę nawiązać. Nasze rozeznanie tego, co dzieje się na obcych dworach, jest istotnie bardzo dobre. Odnosi się to również do dworów Witolda i Jagiełły. Ale tu sprawa jest inna. Jak słyszeliście od wielkiego mistrza, czeka nas rozprawa orężna. Stąd wynika, że choćby to nasze rozeznanie było najlepsze, zawsze go jest za mało. My musimy wiedzieć nie tylko, co ci dwaj zamierzają, ale co jedli na obiad i wieczerzę, z kim sypiają w podróżach, a nawet jakie mieli sny…

– A zatem?

– Zatem reprezentujecie zakon, który i w Polsce ma swoje klasztory. Siedzą cystersi w Mogile, Jędrzejowie, Wąchocku, Koprzywnicy, Sulejowie, Paradyżu. Znacie zwyczaje i przepisy swego zakonu lepiej niż my. Waszą sprawą więc będzie znaleźć pozór, ale dobry, by rozesłać po tych klasztorach swoich braci. Muszą tam osiąść i patrzeć, co się dzieje wokoło nich.

– Muszą więc być piśmienni?

– Lepiej, aby byli. I nie mogą wiedzieć jeden o drugim. A całą sprawę, o czym chyba nie muszę wspominać, powierzamy wam pod pieczęcią tajemnicy. To wszystko, o co was prosimy, nie mówię: żądamy. Ale że przysługa to dla nas ważna, jak za ważną klasztor zostanie wynagrodzony. Chcecie, ojcze, jeszcze o coś spytać?

Wielki komtur znów uniósł jasnoniebieskie, zimne jak lód oczy na opata. Patrzył na niego badawczo i wyczekująco. Ten pochylił się nad stołem.

– Rozumiem, że chcielibyście, aby wyruszyli natychmiast. Ale chyba nie wszyscy razem? Zwróciliby na siebie uwagę. A i w moim klasztorze jednoczesne odejście kilku braci wywołałoby poruszenie…

Wielki komtur opuścił powieki, by nie zdradzić zadowolenia. A więc ich gość nie zaprotestował. Liczyli się bowiem z oporem, kiedy jeszcze w zimie rozważali tę sprawę i obmyślali środki nacisku. Na szczęście stały się zbędne.

– Macie słuszność. Należy ich wysyłać kolejno i wydać zakaz wyjawiania, skąd są. Niech mówią, że przybyli z Niemiec, Czech, Węgier, a nawet Italii, ale zawsze tak, by mnich znał naprawdę kraj, który poda za miejsce dotychczasowego pobytu.

– Jak mają przekazywać wiadomości?

– Podacie nam ich imiona, ze wskazaniem miejsca, dokąd zostali wysłani. Co jakiś czas odwiedzi ich nasz specjalny wysłannik. Hasłem, po którym go rozpoznają, będą słowa: „Chwała Marii, która depce węża”. Mają mu odpowiedzieć: „A biada wężowi”.

– Zapamiętam je.

Lichtenstein lekko skinął głową.

– A więc to wszystko. Gdybyście w przyszłości chcieli dalszych wskazówek albo porady, piszcie naszą pocztą osobiście do mnie.

Znów zabrał głos Ulryk:

– Cieszę się, czcigodny ojcze, że nie odmówiliście nam pomocy. Jak powiedział brat Kuno, nie zapomnimy wam tej usługi. Teraz jeszcze jedna, nieznaczna już prośba. Chcę, abyście wysłali pismo do swego starego przyjaciela…

– Którego? – rzucił z ożywieniem opat.

– Tego, który jest domowym kapelanem u wdowy po Jakubie z Sośnicy. Siedzi ona w swoim dworze pod Lublińcem.

– Macie na myśli brata Egona?

– Właśnie.

– Cóż mam pisać do niego? – spytał opat Landulf nie bez nuty niepokoju w głosie. – Chroń mnie, Boże, abym czymkolwiek miał go zasmucić!

Ulryk uniósł dłoń uspokajającym gestem.

– Nie ma o tym mowy. Będzie to z waszej strony tylko przysługa. Jeśli nie dla niego samego osobiście, to dla bliskich, których ma w Krakowie.

– Przysługa? Co macie na myśli? – głos opata był już spokojniejszy.

– Muszę wam zdradzić coś niecoś z naszych wojennych planów. Po rozbiciu polskich sił, bo litewskie – jak przypuszczam – w ogóle nosa z lasów nie wysuną, ruszymy od razu na Kraków. Po zdobyciu miasta mam zamiar wydać je na dzień, dwa naszym wojskom do zabawy. Jeśli więc ma on bliskich w Krakowie, a my wiemy, że ma, niech zawczasu stamtąd umkną, zwłaszcza młode kobiety.

– A Sośnica? Czy uważacie, że tam będzie bezpiecznie?

– Lubliniec należy do jednego z synów Naderspana, Bernata z Falkenbergu. Opolczyk był do śmierci naszym przyjacielem, toteż ziem jego synów nie ruszymy. Tym bardziej że podległe są czeskiej koronie, co mogłoby poróżnić nas z Wacławem.

– A dlaczegóż to raptem troszczycie się o młode kobiety? – zapytał z naiwną szczerością ojciec Landulf.

Ulryk uśmiechnął się w odpowiedzi na te słowa, ale odpowiedział poważnie:

– Dajemy szansę ocalenia przyjaciołom naszych przyjaciół. Sobie zaś zachowujemy przyjemność siania zamętu i strachu pośród naszych wrogów.

Kpiący uśmiech Lichtensteina skryła broda, toteż ojciec Landulf go nie zauważył. Uspokojony zupełnie, oparł dłonie na poręczach krzesła i wstał.

– Zostańcie z Bogiem! Idę spocząć, bom zmęczony, a do brata Egona napiszę jutro rano.

* * *

W zakręcie rzeki, otoczona mrocznym borem, rozciągała się obszerna polana. Porastał ją tu i ówdzie kilkuletni młodziak, co wskazywało, że została wytrzebiona ręką człowieka, a później z jakichś przyczyn porzucona. Bór po drugiej stronie rzeki dochodził do samych jej brzegów.

Obronność miejsca – bo ciasny skręt rzeki dawał z trzech stron ochronę – została wykorzystana do budowy gródka.

Na koronie wału usypanego z ziemi świeciły w słońcu świeżo ciosane bale. Wał ujęty został w potężne, dębowe kłody, a wieńczącą go palisadę stanowiły ostro zakończone pale. Brakowało jeszcze w fosie wody, przerzucony przez nią pomost był prowizoryczny, sama palisada też nie była skończona, ale zabudowania widniejące poza nią robiły wrażenie gotowych. Rzucał się przede wszystkim w oczy obszerny dom mieszkalny, kryty dartymi gontami. Ze względu na oszczędność obwarowanego terenu budynki gospodarskie otaczały go zwartym półkolem.

Polanę przemierzało parę wołów ciągnących potężną kłodę drzewa. Z głębi lasu dochodził w ciszy letniego dnia miarowy łoskot siekier. Odpowiadał im z podwórza stuk topora ciosającego wielki bal leżący w pobliżu wznoszonej palisady. Topór miarowo podnosił się i opadał, za każdym razem błyskając refleksem słońca, ślizgającym się po jego szerokim ostrzu.

Pracujący mężczyzna był wysoki i smukły, ale szeroki w ramionach. Stał nad balem nagi do pasa i brązowy od słońca, chroniąc przed nim głowę słomianym kapeluszem.

W drzwiach domu ukazała się młoda kobieta i, mrużąc oczy, usiłowała przyzwyczaić wzrok do słonecznego blasku. Na ciemnym tle sieni jej sylwetka rysowała się jasną plamą. Płócienna koszula rozpięta u szyi ledwo osłaniała strome piersi, a suto fałdowana spódnica do kostek nie zdołała ukryć smukłości bioder. Jej śniadą twarz o delikatnych rysach rozświetlały wielkie ciemne oczy, pełne niepokojącego uroku.

Podeszła do pracującego mężczyzny.

– Ben, zawołaj ludzi, zaraz będzie obiad.

Mężczyzna wyprostował się i zsunął kapelusz na tył głowy. Spojrzał na kobietę i uśmiechnął się:

– Tych nie trzeba wołać! Do pełnej miski nie spóźniają się nigdy!

Woły ciągnące kłodę minęły prowizoryczny pomost na fosie i zbliżały się z wolna. Idący obok nich chłopiec trzepnięciem gałęzią po nozdrzach zmusił zwierzęta do skręcenia w bok, by przyciągnięty pień ułożył się na właściwym miejscu. Potem odpiął orczyk i zawiesił go na jarzmie.

– Prowadź do stajni – rzucił mu mężczyzna. – Pora na obiad.

Kobieta ruszyła ku domowi. Benko odwrócił głowę i chwilę patrzył za nią, przetarł wierzchem dłoni spocone czoło i gwałtownie wbił ciosło w obłą krągłość pnia.

W rok po ślubie przybyli tu, na tę rubież, którą też Rubieżą nazywano. Jeszcze jego ojciec, towarzysz wypraw księcia Ziemowita, zabity podstępnie opodal rodzinnego Chynowa przez zwaśnionych z rodem Szeligów jazgarzewskich Ciołków, otrzymał tu nadanie stu łanów ziemi wraz z leśną osadą dziesięciu dymów. Jednak prędko się okazało, że zbyt blisko biegła tędy granica zakonnego państwa; jedna z wypraw, którą Krzyżacy w odwet za posiłkowanie Witolda robili na ziemie mazowieckie, zawadziła o Rubież, pozostawiając za sobą zgliszcza i pustkę.

Ale że Benko miał dość swoich złych sąsiadów Ciołków, pozostawił rodzinne gniazdo młodszemu bratu, a sam udał się do Płocka, by ubiegać się u księcia o potwierdzenie dawnego nadania Rubieży. Kiedy je uzyskał, przeniósł się tu, a pięć kmiecych rodzin nie rozstało się z nim, ruszając na nowe miejsce. Tych usadowił pół mili za rzeką, a sam z kilku ludźmi czeladzi i niewolnych rozpoczął budowę nowego gródka, trzebienie lasu pozostawiając najętym drwalom, zwanym łazęgami, jako że wynajmowali się wędrując po kraju.

Zyta od początku dzieliła z mężem trudy tego życia. A nie były to tylko noce pełne wzajemnego sycenia się sobą, ale i twarda praca od świtu do zmierzchu.

W ciągu tych dwóch lat monotonię upływających dni przerwała tylko jedna nieoczekiwana wizyta. Pewnego popołudnia pod koniec września ubiegłego roku podwórzec zapełnił się gośćmi. Było ich trzech, z trzema zbrojnymi pachołkami. Benko znał z nich tylko jednego, z czasów kiedy w Płocku oczekiwał na przyjazd księcia. Był to Wojsław z Zalesia, tak jak i on z rodu Szeligów, rycerz starosty płockiego, Mikołaja z Boszewa. Wojsławowi towarzyszyli Laurencjusz z Targowa, podsędek warszawski, i Andrzej z Lubrańca, włocławski proboszcz.

Zyta podała gościom naprędce sporządzony posiłek, bo pora obiadowa dawno minęła. Kiedy go spożyli, poprosili gospodarza o rozmowę.

Trwała ona godzinę, a skutkiem jej po pewnym czasie zaczął odwiedzać Rubież chudy, nieco przygarbiony człowiek, któremu z oczu patrzyła bojaźliwa przebiegłość. Kiedy przybył po raz pierwszy, podał, że nazywa się Ulik, a że wymienił ustalone hasło, Benko wiedział, o co chodzi.

Za każdym razem przywoził małą, podłużną puszkę sporządzoną ze zwiniętej w rulon kory. Nie bawił długo, tyle aby dać koniowi odetchnąć i samemu spożyć posiłek.

Po jego odjeździe Benko wzywał jednego z młodych parobków, a ten, bez względu na porę, siodłał konia i zabrawszy puszkę, ruszał natychmiast w drogę. Wracał dopiero po sześciu, siedmiu dniach, bo do Włocławka było przeszło dziesięć mil drogi.

* * *

Za rozwartą okiennicą noc tchnęła parną ciszą. Nad czarnym pasem boru stała stroma ściana nieba, migając mrowiem rozsypanych po niej gwiazd. Wielki, żółty krąg księżyca

rzucał na uśpiony las, otwartą przestrzeń polany i zabudowania osiedla widmową poświatę seledynowego blasku.

Ben i Zyta leżeli obok siebie w sypialnej komorze, jeszcze pełni przeżytego przed chwilą uniesienia, gdy z czarnej ściany lasu doleciało ich dalekie, przeciągłe wołanie puchacza.

Kobieta odwróciła głowę ku oknu.

– Ben… – szepnęła ledwo dosłyszalnie. Ponieważ nie odpowiedział, powtórzyła nieco głośniej:

– Ben, nie śpisz?

– Nie, miła.

– Ben, boję się…

Uniósł się na łokciu i nachylił nad nią.

– Boisz się? Czego?

– Nie wiem… Raptem naszedł mnie strach. Jakby zło szło od tego lasu.

– To noc tak działa na człowieka. Nocą złe ma swobodę i straszy ludzi. Przeżegnaj się i uśnij spokojnie, jestem przy tobie.

– Wiesz Ben, ja ten strach czuję nie pierwszy raz. Zjawia się i za dnia. Wówczas nie mogę sobie znaleźć miejsca. Chce mi się uciekać. Uciekać byle gdzie, aby jak najdalej…

Objął ją wpół i przyciągnął ku sobie.

– Przysuń się do mnie i odpędź złe myśli.

– Żebym tylko zawsze miała cię tak blisko…

– Czy może być inaczej? Przecież wiesz, jak cię miłuję…

– To dobrze… – Przytuliła się do męża. – Już chyba teraz zasnę. Jakiś czas panowała cisza, potem znów gdzieś z dala odezwał się żałosny zew puszczyka.

– A jak będzie wojna? Ludzie wciąż o niej mówią – szeptem spytała Zyta.

– Jak nadlecą wici, trzeba będzie iść! Takie prawo i obowiązek męża.

– Wtedy mnie odejdziesz…

– Ale da Bóg, wrócę…

– Niech lepiej da, by nie było wojny.

– Nie trap się zawczasu. Nikt swemu losowi nie ujdzie. Odpowiedziało mu już tylko westchnienie kobiety i złowieszczy głos puchacza z mroków nocy.

* * *

Dunin ze Skrzynna, kanonik krakowski, a dziekan kielecki, bakałarz świętej teologii, wolnym krokiem zmierzył ku domowi. Spiętrzone, surowe bloki zamkowych budowli, które pozostawił za sobą, zdawały się być ogarnięte pożarem, tak intensywna była czerwień zachodzącego słońca.

Ksiądz Dunin przystanął, gdyż zagrodziło mu drogę stado krów. Kanonik czekał cierpliwie. Nie było mu spieszno. Odczytywanie nadeszłych pism, układanie konspektów, potem szlifowanie ich treści – właściwy dobór słów i umiejętna nimi żonglerka mówiły o dobrze opanowanym rzemiośle – były pracą wyczerpującą, toteż w letniej porze spacer do domu stanowił cenny wypoczynek.

Dom księdza Dunina, jednego z dwóch głównych sekretarzy podkanclerza Trąby, stał niedaleko Zamku, przy ulicy Kanonicznej. Ulica była cicha, pełna sadów i warzywnych ogrodów, o domach okolonych zabudowaniami gospodarskimi. Posesje te stanowiły własność duchownych. Nie było tu kramów i hałaśliwych warsztatów rzemieślniczych, pełnych gwaru, stuku młotów i młotków, swarów kłócących się czeladników i rubasznych wymyślań kupujących.

W dali, za Okolem, piętrzyły się domy miasta, a szereg baszt obronnych murów w miarę odległości roztapiał się w wieczornej poświacie. Ich stożkowe dachy wyglądały teraz jak języki znieruchomiałych płomieni.

Odezwały się pierwsze sygnały trębaczy z wież bramnych.

Stado krów przeszło i ksiądz ruszył dalej. Rozpoczynająca się ulica pełna była jam i wyboi. W miejscach najtrudniejszych do przebycia – zwłaszcza w porze słot, kiedy błoto sięgało po kolana – leżały pomosty z okrągłych bierwion, zamocowane po brzegach wzdłużnymi balami. Latem jednak bez kłopotu można się było dostać do domu.

Dunin szedł wolno, bo spieszyć nie miał już do kogo. Z chwilą wyjazdu Uny dom stał się pusty. Ona wypełniała go sobą, stanowiła jedyną radość życia, pociechę dla oczu i serca. Była tą bliską istotą, która w samotnym życiu księdza pozwalała zaspokajać głód kochania.

Trudno teraz przychodziło staremu człowiekowi głuszyć tęsknotę. Brakowało mu w domu głosu siostrzenicy i jej żartobliwych przekomarzań, śpiewu, a nawet ostrych słów, których nie szczędziła w chwilach gniewu.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI